

prof. dr hab. Anna Doboszyńska
Uniwersytet Medyczny
Warszawa

W służbie umierającym

“Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona
godzina na wszystkie sprawy pod niebem:
Jest czas rodzenia i czas umierania...”

Księga Koheleta

Po 30 latach codziennej pracy w szpitalu i ponad 20 latach pracy w Warszawskim Hospicjum Społecznym, codziennym badaniu chorych, rozmowach z nimi, wypisywaniu ich do domu, towarzyszeniu tym którzy zdrowieją i tym, którzy umierają, uważam, że to, że mogłam być z nimi wtedy gdy umierali, jest dla mnie niezwykłym darem. Niektórzy umierają szybko, cicho i niepostrzeżenie, niektórzy mają sporo czasu na przygotowanie, targują się jeszcze o kolejne dni, albo lata, o doczekanie do ślubu wnuczki, do matury syna, nie zawsze im się to udaje.

Kilka, kilkanaście sytuacji pamiętam jako niezwykle, o niektórych z nich chciałam opowiedzieć.

Elżbieta – młoda, czterdziestokilkuletnia kobieta umierająca na raka płuc, papierosy paliła długo i dużo, troskliwy mąż, dwoje małych dzieci. Któregoś dnia, gdy wychodziłam zmęczona po dyżurze, zatrzymała mnie przy swoim łóżku mówiąc... „ty się za mnie módl, ty się za mnie módl żebym nie cierpiała” nie byłyśmy wtedy po imieniu, zdziwiła mnie i forma i treść tej prośby, ale też i wrażenie było mocne. Wtedy nie byłam blisko kościoła, ale ta prośba ciężko chorej kobiety, która wiedziała że umiera, spowodowała że zaczęłam się za nią modlić. Spędzałam z Elżbietą

coraz więcej czasu, wiedziałam, że jakoś jest jej potrzebna moja obecność, rozmowy, żarty, jakieś banalne opowieści o moim życiu i o mojej rodzinie. Ta znajomość stała się bardzo bliska, serdeczna i niezwykle intensywna. To było na początku mojej pracy zawodowej, w latach osiemdziesiątych, pisałam wtedy doktorat, który miałam przedstawić na zjeździe w Amsterdamie. Nie miałam pieniędzy na wyjazd, nie miałam paszportu, trzeba było załatwić wizę i mieszkanie. Praca została przyjęta do prezentacji, mogłam więc liczyć na stypendium dla młodych naukowców, mieszkanie załatwił ktoś ze znajomych, a w pozostałych formalnościach pomógł mi mąż Elżbiety. Wyjeżdżałam więc na międzynarodowy kongres, co z jednej strony było wielkim przeżyciem, zwłaszcza w tamtych czasach, ale wyjeżdżałam z niepokojem, że Elżbieta w tym czasie może umrzeć, a z pewnością, że to są jej ostatnie dni. Przed wyjazdem siedziałam u niej jak zwykle po zakończonej pracy, wtedy powiedziała mi żebym jechała spokojnie, że na mnie poczeka. Jednak wyjeżdżałam z niepokojem, z Amsterdamu dzwoniłam do domu Elżbiety, rozmawiałam z córką, która niewiele wiedziała o stanie matki. Po kilku dniach, wieczorem wróciłam do Polski, następnego dnia poszłam do pracy, zajrzałam do Elżbiety, która leżała sama w pokoju, ale akurat siostry zmieniały jej pościel, zobaczyła mnie w uchylonych drzwiach i tylko kiwnęła głową na powitanie. Weszłam do jej pokoju za pół godziny, już nie żyła.

Babcia Basia, mama sąsiadów i przyjaciół, niezwykle spokojna, dobra delikatna, nigdy nie chciała nikomu przeszkadzać, przyjechała mając 95 lat do Warszawy z Poznania, dwie córki, troje wnuków, dziesięcioro prawnuków. Od kilku tygodni słabła, więcej spała, mniej jadła, Marysia, córka u której mieszkała, robiła wszystko, żeby matka żyła jak najdłużej, ale też żeby nie cierpiała, a ja będąc u mojej mamy, piętro

wyżej, zaglądałam tam często, upewniając rodzinę, że wszystko co możliwe i konieczne w opiece nad matką, jest zrobione. Babcia Basia gasła, jak świeca, dopalał się promyk jej życia, to określenie najlepiej oddaje jej umieranie. Marysia zadbała żeby był ksiądz, który przychodził co tydzień, później przychodził też do mojej mamy. W wigilię 2009 rano wstąpiłam do sąsiadów, chora umiera, takie miałam przekonanie, jadąc do miasta zadzwoniłam do Marysi mówiąc, że jeśli ktoś chce się z Babcią Basią pożegnać to trzeba żeby już przyszedł. „To już?” spytała Marysia, potwierdziłam że tak. Jak wróciłam do mamy, okazało się, że zeszła do sąsiadów odmówić ze wszystkimi różaniec, że był ksiądz Michał, są obie córki, przyszedł wnuk z najstarszymi córkami, że są obie wnuczki z mężami. Babcia Basia umarła. We własnym, domu we własnym łóżku w otoczeniu najbliższych, w dniu kiedy wszyscy spokojnie mogli się zebrać, żeby się z nią pożegnać, w Wigilię Bożego Narodzenia.

Pan Józef. Żona, Marianna, zmarła na ciężką postać przewlekłej obturacyjnej choroby płuc, w domu kilka dni przed śmiercią Jana Pawła. Pan Józef przez jakiś czas dzielnie sobie radził mieszkając z jedną z córek, która pracowała i rano wychodziła z domu, a po południu wracała. Razem z córkami zięciem i wnukiem jeździli na wakacje, w czasie kolejnego wyjazdu pan Józef zgubił się i nie mógł znaleźć drogi do domu, później wychodził z domu w którym mieszkał od wielu lat i też nie trafiał z powrotem, kilka razy miał utratę przytomności. Jego stan stale się pogarszał, ale jeszcze poznawał bliskich i zawsze się cieszył kiedy przychodziłam. Ostatnie miesiące nie wstawał z łóżka, obie córki dyżurowały przy nim na zmianę, w końcu konieczna była opiekunka. Córki zapewniły choremu wszystko co konieczne, łóżko szpitalne, materac przeciwoleżynowy, całodzienna opiekę, troskliwą, dobra lekarke z przychodni. Mnie poprosiły o wizytę, bo tata kaszlał i gorzej

oddychał. Zbadałam chorego, posiedziałam, porozmawiałam z córkami, które naradzały się jak zaplanować opiekę nad tatą w czasie ferii, które już się zaczynały, poradziłam żeby jednak nie planowały wyjazdu zadzwoniłam też do lekarki, która chorego widywała codziennie, ustaliłyśmy plan postępowania, ale miałam wrażenie, że widzę pana Józefa ostatni raz. Wieczorem córka zadzwoniła pytając z płaczem: pani Aniu skąd pani wiedziała, że tata umiera.

Pani Julianna. Córka, lekarka, po raz pierwszy mnie do niej poprosiła jak mama skończyła już sto lat, źle się czuła, kaszlała miała gorączkę. Zebrałam wywiady, zbadałam pacjentkę, podejrzewałam zapalenie płuc i mówię: „pani Julianno chciałabym panią zabrać do szpitala, podejrzewam, że ma pani zapalenie płuc”. Na co pani Julianna, z pełną świadomością mówi „wykluczone, proszę mnie leczyć w domu”. I tak też było, dostała leki i jej stan stopniowo się poprawiał, a przez następne lata, zawsze jak ze zdrowiem pani Julianny było gorzej, proszono mnie o pomoc, zawsze też w czasie wizyt była herbata i rozmowy. Zapamiętałam opowiadaną przez panią Juliannę ze śmiechem historię o tym jak to mając 35 lat była u lekarza, który ją zbadał i powiedział że ma słabe serce.. Za którymś razem dostałam słoiczek konfitur, które poprzedniego roku, pani Julianna sama robiła. Po wielomiesięcznej przerwie, kilka tygodni temu, córka zadzwoniła, że mama się źle czuje, poszłam następnego dnia, weszłam do pokoju, chora w ciężkim stanie, z trudem oddychała, powiedziałam „dobry wieczór pani Julianno”, chora odpowiedziała „dobry wieczór pani doktor” i umarła. Umarła na 3 miesiące przed 110 urodzinami. Nabożeństwo żałobne w kościele Ojców Bazylianów, w obrzędku greckokatolickim piękne ze wzruszającym kazaniem księdza, który rano w dniu śmierci był u chorej i któremu wtedy powiedziała „Pan Bóg mnie woła”.

Co oznacza „służba umierającym”? Z medycznego punktu widzenia to działania techniczne, leki które zmniejszają ból, łagodzą duszność, to pokazanie opiekunom, rodzinie jak poić, żeby chory się nie zakrztusił, jak podawać leki, kiedy leki nie są już konieczne, jak układać chorego w łóżku, informacja, że potrzebne są pampersy, materac przeciwoodleżynowy, wózek, pomoc choremu w czasie mycia itd. To często jest pomoc poprzez wsparcie rodziny, która chciałaby opiekować się chorym jak najlepiej, a potrzebuje właśnie takiej pomocy technicznej. Czasem rodzina nie jest w stanie sama zajmować się chorym, czasem chory nie ma żadnej rodziny, wtedy konieczna jest pomoc z zewnątrz i często jest to hospicjum domowe lub stacjonarne, którego pracownicy etatowi i wolontariusze są przeszkoleni w pielęgnacji i opiece nad chorymi i w opiece nad rodziną osoby umierającej. Te działania pielęgnacyjno opiekuńcze są bardzo ważne, a sprowadzają się do zmniejszenia cierpienia chorego. Ale najważniejsze niezależnie od miejsca pobytu chorego, szpitala, własnego domu czy hospicjum stacjonarnego jest bycie z chorym, wysłuchanie tego co chce powiedzieć, czasem trzymanie za rękę, czasem wspólna modlitwa.